



S
G

Stanisław
Grochowiak
*Wiersze
zebrane*

Stanisław
Grochowiak
*Wiersze
zebrane*

II





**Stanisław
Grochowiak**
Wiersze zebrane

Wybór, opracowanie i redakcja
Beata Symbler


warszawy

Narzędzia – którymi się posługiwali, były z tej samej brzozy,
 Co przedmioty wdrążające dzień w dzień drogą straceń.
 Szły, jak włócznia do przebijania boku,
 Gępy jak nóż do podcinania ścięgien w podszkianach,
 Ściera w płatach,
 Gwóźdź,
 Języki i ogień
 Profesora szewca w tych okolicznościach miała w sobie coś hantabnego,
 Coś
 Jak przedrzeźnianie:
 Zał bezustanny korowód dźwięków śmieci z gałkami wystraszonymi
 wazy kupa

Coś z wertowania najbrzyźdliwszych stron: własnego losu;
 Nieuchronna beznadzieja szewca przykajstrowanego do zryła.
 Coś z potajemnej kaźni.

Pomyśleć, widzieć zabijanych i nie zabijać (o, gwóźdź zarzucił i ugryzł)
 Liczyć na palcach umierających i nie umierać (o, pustynia mego mózgu),
 Być świadkiem koronnym i ogółu obojętnym,
 Nie wywołanym przez żaden Majestat, zbuntowany Motek lub Peleś
 Czym może się skończyć takie bezbrzeszne spokornienie,
 Jak jedną niezamieriają do tych szelmowskich ciał – zszelaków
 Z genitaliami wyteranymi przez opaski, z dżagim i zmiętaną
 Krew na płowach, z gębami krzyży dźwiganymi, łagodnie jak kalestwo?
 Przeto Ahaswer nie nawidził potępionych,
 Młodkiem i grypem,
 Pasemkiem suchłej woski z garnka przalonej soczewicy,
 Płucem bachorów, które znowu afajdały się w koszu,
 Przekleństwu Sary – tustej Żydówki, która była jego najgłębszą polową

Pielęgnując tę niemoc, mimo że był tylko szewcem
 Od tyle jakich napraw, nigdy nie postąpił za gwóźdź,
 Aby na Lysym Wągrze Trupiej Główni spieć swoje okrucieństwo.
 Byłoby to różę rwać między pokrzywy.

At – pewnego dnia – czwartek to albo piątek
 (Czysta piątka, sandały sprzedawcy żółwich okorup czołwały już na podłogę)
 Na kwadrans przed kaźnią

W skłóceniu otwarcie zabłysła
 W samym Ahaswerze
 Typowa Twara Skasnego
 Ten lot napierał: siatką był, które opłatały mu całe oblicze;
 Przekrył zapachem z ust pojonych tylko żółcią
 Włosną miedzą jeber, która zwiastowała,
 że głyby nie kał,
 Iż nie! dopadłaby opóźnika w reakcie choroby piersi,
 Ahaswer jeber o nie zwymiotował, tak go przerażała
 Ta błędność, sponfalenie, które nawet brat bratu
 Iarzędzia
 A gwóźdź rżemiel grona bijąca z owej beznadziei
 (Lewo ramię krzyża Przybytu wpakował w okno, nie bawąc,
 że rżemiel drogową oponę z rybiego pęcherza)

Ogrył i gład, tak, dołose mówię: o coś zabiegł, albo wręcz przekazywał
 Półnie nie zniżając sprzeciwu. Krzyżał przez ramie Ahaswera
 Wpat do Sary przy kuchni, przerażał dzieci, obudził starca
 Dzwoniącego w głębokim cieniu tamby, poruszył konę
 Wywołaną smutkiem do Ahaswerowego wyzka: obok nary
 Nosa szczęście pełne świętego mocha odpowiedziało półgłębkiem echa.

...ooh... pomóż...

A ja ci pomóż! Ahaswer twarz bezczelną jednym ruchem wypchnął.
 Ze drgań porażeniem sięgnął po kubek kłajstru i zapacykował
 Dłotkę usta, diabeł z krzyżem odskoczył jak oparzony
 Słój w letnie był gorący), a fala oprawców i gwóźdź
 Przewili się zwirowym chichotem jak grzywacz muniący na jeziorze przed
 burzą

„Dobra robota” – pochwalili bez zbytniego komplimentowania biernowicy
 Ahaswer zaś urł nie tylko w oczach Saary i – kto wie –
 Cy wustarion nie zakarbował go sobie w pamięci,
 A protokół kaźni nie wpisał na listę zawodowych zachów;
 Kto może wiedzieć, jaką koleśną
 Potrzybły się płonące gniazdo Ahaswerowej kariery,
 Głoty Tanden nie rozkleił nakłajstrowanych ust i nie wyseplenił
 Prze obławowane od uderzeń zęb:

*Totentanz
in Polen
(1969)*

dziękujemy, Podpunkt